



MARCIN
NADRATOWSKI

CHRZĘST

TOM I

CHRZĘST

[Kup książkę](#)

MARCIN
NADRATOWSKI

CHRZĘST

Tom I

[Kup książkę](#)

© Copyright by Marcin Nadratowski & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Projekt okładki: Wojciech Gunia

ISBN e-book: 978-83-8166-441-7

ISBN druk: 978-83-8166-442-4

Wydawca:

Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części
lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

[Kup książkę](#)

1. ROBERT

Znów jej nie ma. To była pierwsza myśl, gdy tylko uchyliłem powieki. Kontury otaczających mnie przedmiotów rozmywały się jak pijacka mara, kolory stopniowo nabierały ostrości, choć i tak wszędzie dominowała szarość. Wczesna pora nie pomagała odzyskać wewnętrznej równowagi. Wokół panowała niczym niezmacona cisza, o tyleż oczywista, co niezauważalna, jak solidny fundament wieżowca, miłość matki do dziecka, dzień nastający po nocy.

Skąd wiedziałem, że jej nie ma? Wiedziałem i już. Żyjąc z kimś tyle lat, znając nawyki, słabości, demony nękające przymusową współlokatorkę, to się po prostu czuje.

Może nie słyszałem jej oddechu? Może zaalarmowało mnie niższe natężenie woni zjełczałego potu i umysłowej zgnilizny? Nauczyłem się tego z czasem, choroba psychiczna cuchnie. Nie metaforycznie, żadne tam aury czy inne pierdolety, po prostu śmierdzi. Latami próbowałem szorować zmarnowane, przedwcześnie postarzałe ciało matki gąbką, pumeksem, zgrzeblem – wszystko na nic. Wciąż wydzielala ten swąd, który wreszcie wsiąknął w ściany naszego domu, we wszystkie stare dywany i inne strzępy mebli, które jakimś cudem udało nam się odnaleźć, ukraść lub wygrać w karty.

Wstałem z materaca położonego bezpośrednio na spróchniałych podłogowych deskach. Moja „sypialnia”. Jedyna, jaką pamiętam, choć podobno będąc małym chłopcem, miałem swój pokój – piękny, cudowny, najlepszy. Na ścianach uroczą tapetę upstrzoną wesolutkimi tyranozaurami, stegozaurami, diplodokami, nieświadomymi zbliżającej się katastrofy, która zmiecie je z powierzchni ziemi. Nieświadomymi tego, że podobna historia wydarzy się sześćdziesiąt sześć milionów lat później. W narożniku pokoju stało ręcznie rzeźbione, drewniane łóżeczko pokryte alabastrową farbą. Kosz na zabawki – do połowy różowy, od połowy niebieski – wyszydełkowała babcia. Miałem być dziewczynką. Na każdym USG tak sprawnie chowałem siurę, że ginekolog zorientował się dopiero w szóstym miesiącu ciąży. Połowa kosza była gotowa, a babcia schorowana. Nie miała sił zaczynać od zera, zresztą, jak się okazało, nie miała też czasu. Zmieniała kolor włóczki i nadludzkim wysiłkiem tworzyła swoje słupki i półsłupki, pojedynczo i podwójnie nawijane, oczka ścisłe i półściśle i całą masę innych niezrozumiałych dla mnie cudów wyplatanych trzęsącymi się, powykrzywianymi palcami. Szkoda, że nie zobaczyłem tego kosza. Szkoda, że babcia nie zobaczyła mnie.

Podobno, podobno, podobno. Podobno kiedyś tak żyliśmy, chociaż pewności nie mam. Polegam tylko na opowieściach matki, a niemal niemożliwym jest odróżnić jej prawdziwe wspomnienia od urojonych.

Po omacku przeszedłem przez pokój, zgarniając leżące na podłodze futro. Temperatura na zewnątrz spadała poniżej zera, w domu było niespełna dziesięć stopni. Przywykłem. Zarzuciłem płaszcz na barki, podmuchałem w zmarznięte dłonie. Wymacałem świecę stojącą na pieńku służącym za stolik nocny. Chwyciłem paczkę zapalek – towaru, którego wraz z matką mieliśmy pod dostatkiem. Ot, efekt pewnej zaskakująco udanej eskapady do okolicznego magazynu. Odpaliłem lont i wyszedłem z domu.

*

Mroźny podmuch wiatru niemal ugasił słabo tłący się płomyk. Odruchowo przystawiłem otwartą dłoń od nawietrznej. Ogień na moment przygasł, ale już po chwili rozpoczął na nowo łapczywą konsumpcję suchego lontu.

Mój wysiłek był zbędny. Mimo mrozu i dość wietrznej pogody na bezchmurnym niebie księżyc odbijał promienie słońca, oświetlając okolicę dużo lepiej niż moja pozał się Boże pochodnia. Zdmuchnąłem świeczkę i zlustrowałem okolicę.

Ustka.

Na strychu matka wciąż trzymała tysiące widokówek pochodzących z „lepszyc dni”. Czyste plaże, latarnia morska, rzesze turystów. Nie pamiętałem tego. Czasów, gdy chlebem powszednim były porozstawiane stragany z gównianymi zabawkami z Chin sprzedawanymi za mi-

liony monet, a pijackie wesołe przyśpiewki wypełniały noc, zaś piski i śmiechy dzieci – dzień.

Tego mroźnego, sierpniowego poranka nie zobaczyłem dzieci, pijanej młodzieży, starców prących przed siebie z kijkami do nordic walking, jakby te metalowe badyle ujmowały im kilkanaście lat. Tego mroźnego sierpniowego poranka zobaczyłem to, co widziałem każdego jednego z trzystu sześćdziesięciu pięciu mroźnych poranków roku. Pustkę.

Rozpadające się domy, dawniej przeznaczone na wynajem, niszczące z każdym upływającym dniem. Pogwizdujący wiatr, nanoszący tumany białych płatków przypominających popiół. Cholera wie, co to było, ale po takim czasie nie stanowiło już zagrożenia. Ponad dwadzieścia lat temu to co innego. Krzyki ludzi, na których twarze spadał ten biały nalot, bąble pokrywające każdy skrawek ciała, którego dotknął – to na zawsze pozostanie moim najwcześniejszym wspomnieniem.

Wzdrygnąłem się mimowolnie i potrząsnąłem głową. Nie czas na wspominki, musiałem odnaleźć matkę. Próbując na dobre powrócić do rzeczywistości, spojrzałem na tablicę z nazwą ulicy smętnie zwisającą z płotu jednej ze zniszczonych posesji, na ledwie widoczne litery, których nie zdołałbym rozszyfrować w panującym półmroku, gdyby nie fakt, że odczytywałem je setki, jeśli nie tysiące razy, gdy przytłumione powstała po wojnie bańką słońce oświetlało zniszczoną planetę. Stąd ta szarość, stąd ten mróz. Śmiech mnie ogarnia, gdy

przypomnę sobie artykuły dawnych ekologów, przekonanych, że zniszczy nas efekt cieplarniany. Hurr durr, auta elektryczne, hurr durr, recykling. Aktywiści niszczący farbą bezcenne dzieła sztuki. A tu jebś! Wojna! I wszystkie przewidywania wzięły w łeb, wieczny mróz. Jak to w historii bywa, najwięksi szczekacze okazali się najmniej zorientowani.

Tak czy inaczej, wiedziałem, że znajduję się na ulicy Dunina. Wiedziałem też, gdzie iść. Nie pierwszy raz mama wywijała taki numer. Nasz piękny niegdyś Bałtyk nęcił ją jak łapka owady. Stawała na plaży w bezruchu, wpatrzona w pienne bałwany pełne śmieci, jakby stamtąd oczekiwała pomocy.

Pewnym krokiem ruszyłem w stronę ulicy Grota-Roweckiego. Ignorowałem okoliczne szkielety domów popadających w ruinę. Całe miasto, a z tego, co zdążyłem się zorientować, także cały kraj, a przynajmniej najbliższa okolica, wyglądały tak samo. Zgliszcza i gruzy poprzetykane pojedynczymi budynkami, których cholera wie czemu licho nie dotknęło.

Poświata księżycy oświećlała mi drogę, kiedy przeźierałem się przez odłamki chodników, ulic, a także naniesione Bóg wie jakim cudem kamienie chaotycznie powtykane w poprzek drogi.

Przyspieszyłem, po plecach przeszedł mi zimny dreszcz, niezwiązany z niską temperaturą. Mama, mimo wszystkich swoich wad, była jedyną bliską mi osobą, a czułem, że stało się coś złego. To znaczy gorszego niż

zwykle. Jakby przekroczyła granicę, do której mozolnie zbliżała się przez ostatnich kilka lat, a której przekroczenie mogło nieść naprawdę poważne konsekwencje.

Truchtem przemierzyłem Grota-Roweckiego, przecinając na wskroś rondo, wbiegłem na EuroVelo10 – dawny fragment ścieżki rowerowej ciągnący się od Świnoujścia aż za Trójmiasto.

Ścieżka rowerowa. Abstrakcja. Próbowiałem sobie wyobrazić, jakie to uczucie tak po prostu mieć rower i nie chować go przed wścibskimi oczami w obawie o napad. Wsiąść na siodełko, nacisnąć pedały i jechać ponad pięćset kilometrów wzdłuż polskiej linii brzegowej, mijając innych cyklistów, wymieniając uśmiechy. Nie potrafiłem.

Po dłuższej chwili skręciłem w lewo i wpadłem do lasu, bezbłędnie podążając dawną dróżką prowadzącą na plażę. Nie pozostało z niej wiele, ale pusta przestrzeń pomiędzy zaroślami skutecznie wskazywała miejsce, gdzie kiedyś się znajdowała. Mknąłem gnany złym przecuciem, nie zważając na ciemność, która nagle zamknęła mnie w swoich ramionach, na korony drzew egoistycznie zatrzymujące poświatę księżyca na swoje potrzeby.

Leśną drogę przebyłem w mniej niż dziesięć minut. Stałem u szczytu skarpy i ciężko oddychając, wypatrywałem matki. Krajobraz nie uległ zmianie od lat. Plażę zaśmiecały metalowe odłamki pozostałe po bitwach morskich toczonych u brzegu Bałtyku. Morze

wciąż wypływało na brzeg trupy ryb i innych zwierząt, często zmutowanych. Patrząc na obecny stan kąpieliska Przewłoka, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że stanowi idealną metaforę współczesności. Delikatny smród rozkładu, tłumiony jedynie mrozem, i skorodowana masa śmieci.

Rozejrzałem się, ale nigdzie nie dostrzegłem matki. Zszedłem na „plażę”, uważając na każdy krok, aby nie wpaść na ostre stalowe odłamki i nie dotknąć żadnego z truchła zwierząt zżeranych przez bakterie, z którymi mój układ immunologiczny mógłby sobie nie poradzić.

Uczucie niepokoju wzrosło. Matka zazwyczaj nie zapuszczała się na plażę dalej niż na kilka metrów, mimo to nigdzie jej nie dostrzegłem. Już prawie byłem gotów przyznać się do porażki, odwrócić na pięcie i poszukać jej gdzieś indziej, gdy dostrzegłem ruch. Daleko. W wodzie.

– O kurwa! – szepnąłem i rzuciłem się biegiem wprost w morską toń, zapominając o śmieciach, bakteriach, wszystkim. Rzuciłem się biegiem w kierunku nagej sylwetki mojej mamy, jedynej przychylniej, ważnej osoby w moim życiu, zanurzonej po pachy w lodowatej, morskiej, trującej wodzie.

2. WINCENTY

Starzec siedział za masywnym, dębowym biurkiem, skrupulatnie, choć irytująco wolno i z nadmierną siłą uderzając palcem wskazującym w klawiaturę podłączoną do komputera stacjonarnego. Biuro, bo tak chyba należałoby nazwać to pomieszczenie, wypełniały dźwięki głośno pracującej jednostki napędowej i miarowy szum agregatu prądotwórczego.

Pomieszczenie było przestronne, pięć na sześć metrów. Niemal puste ściany pokrywała śnieżnobiała farba, której czystość sprawiała wrażenie, jakby nałożono ją kilka dni wcześniej. Przez ogromne, kwadratowe okno wpadały promienie słońca, oświetlając ciemny blat, szczelnie pokryty papierzyskami oznakowanymi pieczęcią przypominającą odcisk psiej łapy wrysowany w celtycki krzyż.

Mężczyzna wyglądał na siedemdziesiąt lat. Na sobie miał długi, gruby płaszcz, mimo że temperatura w pomieszczeniu – przez pracujący agregat i komputer – z pewnością przekraczała piętnaście stopni. Nawet zimowy ubiór nie maskował jednak przeraźliwie szczupłej sylwetki. Dłonie mozolnie molestujące przyciski klawiatury pokrywały nabrzmiałe, fioletowe żyły. Skóra ciasno opinała kości, jakby pomiędzy nimi nie znajdował się ani skrawek mięśni czy tłuszczu. Pociągła twarz pokryta

licznymi piegami, równie szczupła jak reszta sylwetki, sprawiała surowe wrażenie, które potęgowały orli nos, wąskie usta barwy fioletu, małe, bystre, hebanowe oczy, zaczesane do tyłu gęste, choć zupełnie siwe włosy i starannie przystrzyżony wąsik tego samego koloru. Już na pierwszy rzut oka było wiadomo, że facet nie należy do takich, których można zignorować lub łatwo zapomnieć.

Odgłos pukania do drzwi zagłuszył stukot klawiszy.

– Wejść! – krzyknął starzec, nie odwracając skupionych oczu od pożółkłego monitora.

Drzwi ustąpiły z głośnym skrzypnięciem, próg przekroczył młody mężczyzna z lekką nadwagą. Na sobie miał dżinsy i prosty, czarny sweter. Wystający brzuch, zakola trawiące brązowe włosy, okulary o maleńkich szklach i wysoko posadowione brwi przywodziły na myśl średnio rozgarniętego urzędnika albo informatyka niskiego stopnia z dawnych czasów.

– Och, Aaron, zapraszam, zapraszam.

Wincenty Jawor uśmiechnął się do gościa promiennie, odsuwając dłonie od klawiatury, choć w głębi ducha najchętniej w ogóle nie wpuszczałby tego młokosa do swojej komnaty. Nie miał niestety takiej możliwości, jako że wciąż doskwierał mu brak odpowiedzialnych, inteligentnych i oddanych sprawie – jego sprawie – podwładnych. Aaron, stojący przed jego biurkiem ze splecionymi na obfitym brzuchu rękami, niepewnie wodzący oczyma po bieluchnych ścianach, z pewnością był oddany sprawie. Co do inteligencji i odpowiedzialności

– znali się zbyt krótko, żeby rozstrzygnąć to ze stuprocentową pewnością. Choć na pierwszy rzut oka nie brakowało mu oleju w głowie.

Problem, a może raczej przeszkoda, z jaką od zawsze zmagął się Wincenty Jawor, zarówno w życiu „przed”, jak i „po”, była prosta. Najzwyczajniej w świecie nienawidził innych ludzi, a w dodatku odczuwał absolutny brak empatii. Pewnie dlatego ponad czterdzieści lat temu rozwiódł się z żoną, gdy tylko dowiedział się, że jest śmiertelnie chora. Pomyślał o tych tygodniach, a może miesiącach czy latach, zmarnotrawionych na zajmowanie się zupełnie obojętną mu kobietą, i rzucił papierami rozwodowymi. Oczywiście oberwał od swojej rodziny, jej rodziny, wszystkich znajomych. Trafił na margines społeczny, nikt nie chciał się z nim spotykać, a nawet rozmawiać. Kurwa, jaki był wtedy szczęśliwy!

Życie – czy jak kto woli: karma – jest jednak dziwką i jego bytność na świecie potoczyła się w takim kierunku, że nie mógł pozwolić sobie na unikanie ludzi. Nauczył się więc rozmawiać, udawać, uśmiechać na zawołanie, płakać, kiedy tego wymagała sytuacja, krzyczeć, kiedy wypadało. Nauczył się grać, żyć w społeczeństwie, ale nigdy nie zdołał wyzbyć się do niego pogardy.

– Usiądź, proszę. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Aaron Jones, nieco oszołomiony luksusem, jaki zastał u dyrektora Kościoła Odkupienia, jednej z najważniejszych frakcji wyznaniowych w Polsce, podszedł do biurka i usiadł na prostym, drewnianym krześle. Obfite

pośladki wylały się poza zarys mebla, odbierając mu choćby namiastkę komfortu, ale ani mu było w głowie narzekać. Sam dyrektor, sam Wincenty Jawor zaprosił go na rozmowę. Myślał tylko o tym, a poczucie zawstydzenia mieszało się z irracjonalną wręcz ekscytacją wynikającą z tej wizyty, tworząc bardzo dziwną, paraliżującą mieszankę odczuć.

– Aaron, Aaron, nasz najlepszy adept. Wiesz, dla mnie najważniejsze w całej naszej misji, choć to chyba za małe słowo, jest zaangażowanie. Nieczęsto zapraszam na rozmowę tak nieopierzonych członków wspólnoty. Prawdę mówiąc, chyba nigdy nie zrobiłem tego z kimś aż tak niedoświadczonym, ale wierzę w ciebie. Widziałem twoje wyniki egzaminów i jestem pod wielkim wrażeniem. Możesz osiągnąć naprawdę wiele, być może nawet wskoczyć na moje miejsce, kiedy przyjdzie odpowiedni czas, ale musisz udowodnić, że na to zasługujesz. Stąd dzisiejsze spotkanie – zakończył Jawor. W trakcie wygłaszania monologu w skupieniu patrzył Aaronowi w oczy, upewniając chłopaka w szczerości swych słów. Tyle, że słowa nie były szczere. Wincenty miał głęboko w dupie to, kto zajmie jego miejsce. Interesowało go tylko, żeby wydarzyło się to jak najpóźniej. – Mam dla ciebie zadanie – kontynuował Wincenty, poderwawszy się z fotela sprężystym ruchem. – Mamy mały kłopot z pewną... młodą damą, która szerzy na Pomorzu herezje, rozsiewa plotki, które uderzają w nasz Kościół, odciągają od nas ludzi. Sytuacja póki co jest pod względną kontrolą, ale

lepiej dmuchać na zimne. Chciałbym, żebyś się tym zajął. W imię naszego Stwórcy, dla dobra nas wszystkich.

Nie do końca mówił młodzieńcowi prawdę, choć też niezupełnie się z nią mijał. Kościół Odkupienia, założony przez Wincentego Jawora zaledwie rok po „końcu”, systematycznie aczkolwiek powoli rósł w siłę przy wsparciu pewnych osób z Warszawy, tak zwanych Stołeczniaków. Kościół założony pod Krakowem początkowo skupiał wszelkie swoje aktywności w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od stolicy dawnej Małopolski. Jednak lata upływały, macki wspólnoty sięgały coraz głębiej, pochłaniając kolejne ary, hektary, miasta, województwa. Przemieszczanie się po kraju nie było jednak tak proste, jak przed wojną, przez co ekspansja trwała nieprzyzwoicie długo. Do tej pory najsłabiej obsadzono rejony Bałtyku i właśnie tam pojawiła się ta siksa. Prawdopodobnie niegroźna, a jednak siejąca spore wątpliwości u ludzi, którzy w innych okolicznościach z pewnością skłoniliby się ku ich wspólnocie, płacili podatki nie w postaci bezużytecznych pieniędzy, ale zgromadzonych dóbr. Straty nie były wielkie, ale mimo to Wincenty czuł, że jeżeli nie stłumi tego problemu w zarodku, sprawa będzie eskalować. Nic poza przeczuciem Jawora nie wskazywało, żeby ta mała dziwka mogła zaszkodzić tak potężnej instytucji, ale Wincenty już dawno temu nauczył się ufać swojej intuicji.

– Zajął się, to znaczy? – spytał nieco zachrypniętym, wysokim głosem Aaron, po raz pierwszy zabierając głos.

– Zrobił wszystko, cokolwiek będzie trzeba. Ufam twoim osądom, bracie – odparł dyrektor z uśmiechem, który nie obejmował oczu. Te mówiły wprost: „Zabij ją, jeśli będzie trzeba”. – Czy przyjmujesz zadanie? Zadanie, które powierzam ci ja, w imię naszego Pana?

– W imię Stwórcy. W imię Wspólnoty. W imię Odkupienia – odparł wyuczoną na szkoleniu formułą Aaron Jones.

Następnie padł przed Jaworem na kolana, trzymając nad głową wyprostowane ręce z dłońmi złożonymi do modlitwy. Tkwił w tej pozycji kilka minut, w absolutnej ciszy i bezruchu, po czym wstał, zbliżył swoją twarz do twarzy starca, przekręcił jego głowę na bok i wsunął język do ucha. Lizał przez chwilę, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

Po kilkunastu sekundach Wincenty zaniósł się suchym, starczym śmiechem. Gdy tylko zdołał się nieco uspokoić, spojrzał w dół, gdzie jego stary penis wyraźnie wybrzuszył powierzchnię grubego płaszcza. Po raz kolejny wybuchnął śmiechem przypominającym szczekanie chorego psa.

Wciąż nie mógł uwierzyć, jak łatwo jest zmanipulować te zbłąkane dusze, nakłonić do wykonania nawet najbardziej popierdolonych rzeczy, mimo że robił to od kilkudziesięciu lat. Wcześniej, prowadząc lombard i teraz, będąc założycielem Kościoła. Ludzie, którzy utracili nadzieję, zrobią wszystko, żeby ją odzyskać. Prawda stara jak świat. Wprowadził te wszystkie chore formułki, napisane na kolanie modlitwy, bezsensowne rytuały, żeby zapewnić

potencjalnych członków wspólnoty, że uczestniczą w czymś wielkim. W czymś przełomowym, cudownym, paranormalnym. W czymś, co dla odmiany ma sens.

Po tym, jak świat zwałił się wszystkim na łeb, wiara umarła. Wiara w Boga, wiara w sens życia, wiara w ciężką pracę za lekkie pieniądze. Wreszcie wiara w to, że dbanie o najbliższych, pomoc bezbronny, zwierzętom, znajomym i nieznanym ma jakiegokolwiek znaczenie. Pozostała chęć. Chęć powrócenia do jakichkolwiek wartości, jakichkolwiek wytycznych, które wskażą kierunek w nowej rzeczywistości. I on im to dał. Dał poczucie, że gdzieś jest koniec, który prowadzi do kolejnego początku, co oczywiście było jednym wielkim kłamstwem. Ale potrzebnym.

Tak, wszystkie formułki wymyślił po to, żeby zwiększyć wiarygodność całej tej utopijnej patetyczności.

Lizanie ucha wprowadził za to tylko dla siebie. Bo i kto mu zabroni? On ustalał zasady. On ustalał wszystkie prawa. On był prawem. Może gdyby ta suka, jego żona, zrobiła choć raz to, czego chciał, wylizała cały miód, cały dobrobyt, jak nie raz prosił, to jego życie potoczyłoby się w zupełnie innym kierunku?

Nieważne. Nieistotne. Jest jak jest. A jest dobrze – w końcu znalazł się na szczycie albo prawie na szczycie tej chorej hierarchii.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to przeżucie, że za chwilę wydarzy się coś, co odmieni bieg historii, którą tak skrupulatnie budował.

Ta młódka znad morza. Oby Aaron sobie poradził. Jeśli nie, wyśle Tobiasza. Nawet kosztem województwa podkarpackiego, które od samego początku sprawiało najwięcej problemów.

Aaron. Dziesiątki poddanych dziennie wylizywało mu uszy, ale od kilku lat nikt nie zdołał uruchomić jego małego. Ostatnio Tobiasz, teraz Aaron.

Jest w tym jakaś poetyka.

Jawor po raz ostatni parsknął śmiechem i okrążywszy biurko, usiadł w swoim fotelu. Po chwili kościste palce powróciły do wybijania monotonnego rytmu na klawiaturze.